

# Wanda Chotomska

BARBARA  
GAWRYLUK

NIE MAM NIC DO UKRYCIA



SZWEDZI MAJĄ ASTRID LINDGREN,  
FINOWIE TOVE JANSSON,  
A POLACY – WANĘ CHOTOMSKĄ.  
NAPRAWDĘ NIE WYSZLIŚMY NA TYM ŹLE!

GRZEGORZ KASDEPKE



MARGINESY

*Wanda*  
**Chotomska**

BARBARA  
GAWRYLUK

NIE MAM NIC DO UKRYCIA

## WSTĘP

Kilkanaście lat temu na jednym z zawodowych zakrętów spotkałam Wandę Chotomską. Szukałam nowego pomysłu na siebie w radiowej rzeczywistości, czegoś odświeżającego i dającego energię.

Na targach książki w Krakowie zobaczyłam długą kolejkę ludzi w różnym wieku, od kilkulatków po siwe głowy. Każdy trzymał pod pachą po kilka książek, a kolejka kończyła się przy stoliku, gdzie dedykacje wpisywała Wanda Chotomska. Oczekałam prawie dwie godziny, w końcu zupełnie niezmęczona poetka zgodziła się na radiowy wywiad, który cały czas przetykała przywoływanymi z pamięci wierszami.

Zamarzył mi się powrót do dzieciństwa. Do ukochanych książek z kolorowymi obrazkami, wierszy i opowiadań z ulubionymi bohaterami. W Polsce właśnie powstawały nowe wydawnictwa, pojawiło się nowe pokolenie autorów. Ta rozmowa była początkiem moich radiowych programów o literaturze dla dzieci, a potem pierwszych samodzielnych prób literackich.

A po latach usłyszałam: „Jeśli ty tej książki nie napiszesz, to kto ma to zrobić?”. Takie mobilizujące zdanie padło z ust agentki, Gabrieli Niedzielskiej, kiedy wychodziłyśmy od Wandy Chotomskiej po odwiedzinach w mieszkaniu pisarki. Wróciła właśnie do niego po ciężkiej chorobie, szpitalach i rehabilitacjach, z nadzieją na lepsze zdrowie i formę, która pozwoli na pisanie nowych wierszy. Wiedziała, że raczej nie pojedzie już do dzieci na autorskie trasy i nie będzie się spotykać ze swoimi czytelnikami. A ja przeprowadziłam z nią wywiad dla Radia Kraków o najnowszych wierszach. Potem wspominałyśmy wspólne

literackie imprezy, bo wielokrotnie spędzałyśmy czas w większym gronie autorów piszących dla dzieci. Miałam możliwość podglądania, podsłuchiwania, uczenia się od niej pracy z dziećmi, a przede wszystkim uczestniczenia w wielogodzinnych rozmowach okraszanych anegdotami, historyjkami, opowieściami z bogatego literackiego życia.

Zawsze elegancka, świetnie uczesana, ubrana, z perfekcyjnym makijażem i gustownie dobraną biżuterią. Zgrabna, szczupła i w doskonałej formie, zawstydziała niewyczerpaną energią młodszych kolegów marzących o odpoczynku po pracowitych dniach.

I tylko tyle, a może aż tyle, wiedziałam o autorce, której książki pamiętałam z dzieciństwa, a *Jacek i Agatka* stali się dla mnie na tyle ważni, że po latach dałam ich imiona moim dzieciom. Chciałam wiedzieć więcej, moja dziennikarska pasja nie pozwalała odpuścić.

Wanda Chotomska przyjęła propozycję zarejestrowania jej wspomnień i przez dwa lata spotykałyśmy się regularnie, oglądałyśmy zdjęcia, przekopywałyśmy się przez stosy książek, szukałyśmy rękopisów wierszy. I ciągle rozmawiałyśmy... o pracy.

Przejechała Polskę wzdłuż i wszerz, tam i z powrotem, po wielokroć. Mali czytelnicy ją uwielbiali, dorośli nie zawsze potrafili sprostać jej oczekiwaniom. „Czy ja muszę lubić ludzi?” – pytała mnie w którymś momencie w czasie rozmowy. „Na pewno zawsze bardziej lubiłam dzieci niż dorosłych” – dodawała.

Co pozostaje w pamięci z takich spotkań? Czy kartki adresowane: „Wanda Poezja Chotomska”, są ważniejsze od setek wierszy i piosenek? Czy wysuwająca się z pożółkłej koperty laurka od przedszkolaków ma większą wartość niż nagrody? Wanda Chotomska nie lubi takich pytań, prawie każdy osobisty temat zamienia w anegdotę. A najtrudniej jej opowiadać o najbliższych, bo w szalonej gonitwie, ciągle w podróży, nie zawsze miała dla nich czas. Takich zwierzeń jest w tej opowieści niewiele, bo poetka zwierza się niechętnie.

Ale postanowiłam jej słuchać, pozwolić jej opowiedzieć o swoim życiu i zapisywać wszystko, tylko czasem ingerując pytaniem albo sprawdzaniem jakichś śladów, których nie była pewna.

Luk w pamięci było sporo. Wiele z nich udało nam się uzupełnić dzięki poszukiwaniom w archiwach i bibliotekach. Czasem odkryciom

tekstów z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych towarzyszyło zaskoczenie, czasem radość i kolejna anegdota. Ale chcę już we wstępie przygotować czytelników tej książki: to jest zapis rozmów, wspomnień, procesu odświeżania pamięci. Nie miałyśmy ambicji spisywania drobnej biografii, bardziej interesowało nas odtworzenie klimatu towarzyszącego powstawaniu powojennych czasopism i książek oraz opisanie roli, jaką Wanda Chotomska przez lata odgrywała w popularyzacji literatury dla dzieci.

Kilka tygodni przed końcem pracy poetka zaproponowała mi przejście na ty. Poczułam dumę i wielką wdzięczność za zaufanie. Wiem, że na taką propozycję trzeba u Wandy zapracować, obserwowałam przez wiele lat, jak utrzymuje ludzi na dystans, jak nie dopuszcza do niepotrzebnej poufałości, jak mrozi rozmówców jednym spojrzeniem albo jednym słowem.

Zastanawiałyśmy się wspólnie, czy zaznaczyć w naszej rozmowie ten moment.

Nie zrobiłyśmy tego.

Wanda Chotomska pozostaje dla mnie królową, damą i autorytetem w jednej osobie. Mistrzynią, do której od niedawna mam zaszczyt zwracać się po imieniu.

Barbara Gawryluk



Przed czytelnikami nie mam nic do ukrycia, Chełm 1978.



I co dalej?

# 1

## WAWA

– Kiedy miałam dwa, trzy latka, mówiłam na siebie Wawa – zaczyna swoją opowieść Wanda Chotomska. – Potem dorosli mi to przypominali, poprawiałam ich, że jestem Wanda, bo trochę się tym denerwowałam. Nie da się jednak zaprzeczyć, że mój związek z Warszawą od początku był ważny.

Każda wizyta u Wandy Chotomskiej to wjazd windą na jedenaste piętro. Gospodyni czeka zawsze elegancka i świetnie przygotowana do rozmowy. Od jakiegoś czasu jej życie zawodowe toczy się w tych kilku pokojach, ale nadal dzwoni telefon z propozycjami nowych książek, wznowień, adaptacji, przedstawień teatralnych, zjawiają się wydawcy, reżyserzy, muzycy, a listonosz przynosi listy od dzieci, koperty pełne rysunków, laurek i papierowych kwiatów. Pani Nadia zastawia stolik pachnącą herbatą, kuszącymi słodkościami i dyskretnie znika w zakamarkach mieszkania, z którego pisarka może spoglądać na Warszawę.

– Ależ ma pani widok z okna!

– W moim domu nie ma firanek, nie istnieją żadne story. *Love story* też nie. Wszyscy przychodzą i mówią: „Ach, co za widok!”. Teraz gości jest może mniej, ale bywały okresy, kiedy życie towarzyskie kwitło. Chociaż wielu ludzi narzekało, że trudno mnie zastać. Wjeżdżali na to jedenaste piętro i odbijali się od zamkniętych drzwi, no bo ja tygodniami byłam gdzieś w trasie. Miron Białoszewski zostawiał liściki: „Kwiatki na klamce, byłam na Tamce”.



Warszawa – moja *love story*.

Miron zwykle przychodził z kwiatkami. Obojętne, czy były to kwiatki kupione u handlarki, czy uskubane na kwietniku. Zawsze mówił, że ja mieszkam róg Tamki i Warszawy. O Mironie jeszcze pani potem opowiem, bo przecież nie tylko o mnie będziemy rozmawiać, prawda?

– Lubi pani to swoje miejsce?

– Jestem warszawianką od wielu pokoleń, chociaż trudno to udowodnić, bo wszystkie rodzinne papiery zostały spalone. Moim rodzicom zupełnie spaliło się mieszkanie dwa razy. Pierwszy raz w 1939 roku na Wroniej, całkowicie. Nic nie zostało, ale ojciec przez całe lata nie mógł odżałować, że spaliły się szampany kupione na moje wesele. Bo te szampany stały w skrzynkach w piwnicy. Tata chciał, żebym wyszła za mąż i przejęła firmę.



Tata kupił szampana!

Potem ojciec kupił drugie mieszkanie, na Ochocie, róg Białobrzezkiej i Radomskiej. Stamtąd wypędzono nas w czasie powstania.

Rodzinne groby są na Starych Powązkach, najstarszy jest z tysiąc osiemset siedemdziesiątego któregoś roku.

Do niedawna myślałam, że to są najdawniejsze ślady naszej rodziny. Tymczasem okazuje się, że do końca życia człowiek dowiaduje się nowych rzeczy. Proszę popatrzeć na to zdjęcie. Nie wiem, jakim cudem ocalało. To jest moja babcia z trzema synami – Stefanem, Stanisławem i Wincentym. Stefan to mój ojciec, najstarszy. Z rodzinnych opowieści wiem, że babcia bardzo wcześnie owdowiała, nawet nie jestem pewna, czy najmłodszy Wincenty nie był pogrobowcem. Moja babcia Franciszka, z domu Cybulska, razem ze swoją matką wychowała tych trzech chłopców. Utrzymywały się z wydawania obiadów domowych, bardzo dobrze gotowały.

Życie Wincentego mogło się szybko skończyć. Był chrzczony w zimie, rodzina spędzała wtedy czas w jakimś majątku. W mrozie i zadymce jechali saniami do kościoła, po uroczystości na rozgrzewkę sporo wypili, a wracając, nie bardzo panowali nad saniami i w którymś momencie zgubili dziecko. Zorientowali się dopiero, jak przyjechali na miejsce, do domu. W panice ruszyli z powrotem na poszukiwania. Rodzinna opowieść głosi, że Wincentego odnalazł najstarszy brat,



Babcia Franciszka i jej synowie:  
Stefan, Stanisław i Wincenty,  
czyli mocna kobieta i trzech budrysów.

Stefan, czyli mój ojciec. Dziecko zawinięte było w kożuch, leżało na szczęście buzią do góry, nic mu się nie stało.

Tu mam jeszcze ciekawsze zdjęcie. Znowu trzech braci, Stefan, Stanisław i Wincenty. Ojciec jest w cywilu, a jego bracia w mundurach rosyjskich. Dlaczego? Niestety, nie rozmawiałam na te tematy ani z babcią, ani z ojcem. W życiu już tak bywa, że młodzi ludzie mają szalenie dużo swoich spraw i nie pytają starszych, jak to było za ich młodości. Więc ja też niewiele wiem o losach trzech braci. Ale zjawiał się tu u mnie ostatnio Ryszard Ostrychansky. Mój ojciec, wdowiec, ożenił się drugi raz, kiedy byłam dorosła, a moja macocha była właśnie babcią tego Ryszarda. Nie lubiłyśmy jej z siostrą, nie utrzymywałyśmy z nową rodziną kontaktów. Ojciec o to też nie zabiegał. Po jego śmierci zupełnie nie znałam ich dalszych losów. A teraz ta historia wraca. Ten Ryszard mieszkał w Niemczech i tam znalazł dokumenty z tysiąc pięćset którego roku. Była taka rodzina Ginheimów, której źle się powo-



Mój ojciec Stefan Chotomski  
i jego młodszy bracia: Stanisław i Wincenty.  
Wiadomo, kto tu rządzi!

dziło w ówczesnych Niemczech, więc przyjechała do Polski i przybrała nazwisko Chotomski. Czyli możliwe, że historia mojej rodziny sięga aż szesnastego wieku!

Mój ojciec chodził do gimnazjum z językiem polskim. To była pierwsza szkoła w Warszawie, w zaborze rosyjskim, w której uczono po polsku. Szkoła wtedy nosiła imię Pawła Chrzanowskiego, a teraz to jest osiemnaste liceum imienia Jana Zamojskiego.

Z dzieciństwa pamiętam trzech szkolnych kolegów mojego taty: Wańkowicza, Ejsmonda i Pelczyńskiego.

Do Melchiora Wańkowicza już po wojnie ojciec chodził na szachy. Często się te szachy przeciągały, bo jak to mawiał gospodarz: „Konieczne były jeszcze kołduny i trzy dziewiątki”, czyli litewska nalewka. Ojciec czasami jeździł też z Wańkowiczem na jego spotkania autorskie.





Kocham kwiaty  
i pozuję na małą ogrodniczkę.

Miał dużo jego książek z dedykacjami, autografami. Chciałam je odzyskać po śmierci taty, ale się nie udało, nie dostałam ich od macochy.

Drugi przyjaciel z tej samej klasy to późniejszy tłumacz i autor bajek dla dzieci Julian Ejsmond, który zginął w latach trzydziestych w tragicznym wypadku samochodowym w drodze do Morskiego Oka. Ojciec przez lata po wojnie utrzymywał kontakty z matką Ejsmonda, pamiętam, jak ją odwiedzaliśmy.

Trzecim kolegą był Tadeusz Pełczyński, słynny oficer ze Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, uczestnik kampanii wrześniowej. Udało mu się wrócić do Warszawy i przez całą okupację ukrywał się w mieście, działając pod pseudonimem w podziemiu. Doskonale to zapamiętałam, bo gdy zobaczyłam go kiedyś na mszy w kościele Świętego Jakuba na placu Narutowicza, nieświadoma grozy sytuacji zawołałam radośnie do ojca: „Tatusiu, to pułkownik Pełczyński!”. Na szczęście tylko ja go zdemaskowałam. W czasie powstania był ciężko ranny, potem trafił do niewoli, a po wojnie został na emigracji w Londynie. Więc z tej trójki chłopaków po wojnie w Warszawie był tylko



To piękna kaligrafia  
jak na pięciolatkę.  
Konik niestety analfabeta!

Wańkowicz, szkolną przyjaźń pielęgowali z moim ojcem za sprawą szachów i trzech dziewiątek do końca życia.

– Babcia Franciszka poradziła sobie z wychowaniem trzech budrysów?

– Tak, nie mam pojęcia, skąd miała tyle siły. Pamiętam ją bardzo dobrze, była niezwykle pomysłowa, pogodna, bawiła się z nami, śpiewała, opowiadała nam rozmaite historie. Takie rymy, wiersze z dzieciństwa zostają w głowie na całe życie. Babcia śpiewała na przykład:

Kat przyjechał w czerwieni, w czerwieni,  
krakowianka w zieleni.  
Nie chcę być królową, królową,  
wolę być katową, katową.

Były też wiersze patriotyczne, Niemcewicza babcia znała na pamięć:

Od rodaków opuszczona Helena w stroju niedbałym  
dziecię tuliła do łona, co je zwano Leszkiem Białym.



Od lewej:  
Z siostrą Teresą  
w Świdrze,  
28 sierpnia 1938.

Chyba mój pierwszy  
narzeczony  
z przedszkola,  
syn stajennego.

Ale wracając do młodzińskich lat mojego ojca: po studiach handlowych w Gdańsku tata wrócił do Warszawy i założył firmę do spółki z braćmi, jednak to on był głową interesu. To była świetnie prosperująca firma przewozowa, z wozami transportowymi i meblowymi oraz stajniami dla perszeronów przy ulicy Kopińskiej 18. Natomiast przy Marszałkowskiej 132 mieściło się biuro firmy ojca. W tym samym nowoczesnym domu pod koniec lat trzydziestych mieszkał Eugeniusz Bodo, który miał psa, Samba, olbrzymiego doga arlekina (był prawie mojego wzrostu) o niesamowitych niebieskich oczach. Myśmy z mamą chodziły czasem do ojca do biura i wtedy, kilka razy, spotkałam aktora z tym psem. Bodo pozwalał mi go głaskać, bo to potężne zwierzę było bardzo łagodne, a sam wtedy głaskał mnie po kręconych włosach. Ja głaskałam psa, a Bodo mnie.

– Ojciec miał czas dla córek? Przecież prowadził wielką firmę, poza tym w tamtych czasach opieka nad dziećmi raczej należała do kobiet. Jakim był ojcem?

– Najważniejsze były niedzielne spacerunki. Najpierw szliśmy do kościoła Wizytek, a potem po mszy ojciec prowadził mnie na zmianę warty do Grobu Nieznanego Żołnierza. Szłam z nim sama, bo moja



W ogrodzie jordanowskim w kwietniu 1934 roku.  
Oni umieli pisać! W odróżnieniu od konika...  
Moi eleganccy rodzice.

młodsza siostra Terenia była jeszcze za mała. W ciepłe dni spacerowaliśmy najczęściej nad Wisłą, obserwowaliśmy płynące barki i galary. W tamtych czasach łodziami do Warszawy przyplądali sadownicy i sprzedawali owoce. W wodzie często pływały jabłka, a chłopcy stojący na brzegu wyciągali je kijami zakończonymi hakami. Takie obrazki zapamiętuje się z dzieciństwa. Były też wycieczki szlakiem znanych pomników i opowieści o ludziach na nich stojących.

Tata, kiedy tylko miał wolne, łapał wędkę i jechał na ryby, nad Wisłę. Towarzyszył mu zawsze jego pomocnik dźwigający cały ten wędkarski sprzęt.

Więc tata to jednak był częściej nieobecny niż obecny. Nic też dziwnego, że to o nim napisałam mój pierwszy wiersz zauroczona *Powrotem taty* Mickiewicza. Mam go w pamięci, bo jak prawie wszystkie rodzinne pamiątki spłonął potem w czasie wojny:



Tata nie wraca wieczory i ranki,  
 łowi na wędkę żaby i kijanki.  
 Żonę swoją z domu wywleka,  
 żona na niego nad Wisłą czeka,  
 a biedne dziatki, ofiary tatki,  
 są pozbawione opieki matki.

Można powiedzieć, że to był mój debiut. W każdym razie to jest mój przedwojenny wiersz.

– Czyli jednak to był tradycyjny model rodziny, bo mama nie pracowała?

– Mama zajmowała się domem i nami, młodszą siostrą Teresą i mną. Odprowadzała nas do przedszkola, szkoły, chodziła z nami do ogródka jordanowskiego na Filtrową.

– Jaka była pani mama?

– Piękna, elegancka, bardzo dbała o urodę, spotykała się ze swoimi przyjaciółkami. Miała na imię Roma – Romualda. Babci Franciszce ten tryb życia mamy nie bardzo się podobał, narzekała: „Ciągle



*Na stronie obok:*  
 Zdjęcie filmowe, choć w filmie  
 nie występuję.

*Po prawej:*  
 Z grubym zoo w Świdrze.



A tak wyglądała mama. Była piękna.

ta Roma jest albo u dentysty, albo u koleżanki”. Ale my byłyśmy dla mamy najważniejsze. Zanim poszliśmy do szkoły, na długie miesiące jeździliśmy z mamą do Świdra, a tata zostawał w Warszawie. Wyjeżdżaliśmy w maju, a wracaliśmy we wrześniu.

Doskonale też pamiętam wyprawę do Rabki. Miałam kilka lat, była tam z nami przyjaciółka mamy z córką i mieszkaliśmy w Rabce w pensjonacie Wawel. Odwoził nas tata, jechaliśmy pociągiem. W Krakowie był postój, rodzice poszli zwiedzać nocny Kraków, a my pod jakąś opieką zostałyśmy w tym pociągu. Nasz przedział pachniał pomarańczami, bo wieźliśmy ze sobą całą ich skrzynkę, zdaje się, że to był wtedy wielki rarytas i rodzice obawiali się, że w Rabce pomarańczy nie dostaniemy. Zawsze już tę wyprawę z dzieciństwa kojarzę z zapachem pomarańczy i leżakowaniem w Rabce w worach z baraniego futra. Moja siostra płakała, że wory śmierdzą capem, i próbowała z tego leżakowania uciec.

Podróży przed wojną nie było tak wiele. Właściwie to ruszyłam w Polskę dopiero z moim teatrzykiem dla dzieci. I więcej mnie nie było, niż byłam. Ale nigdy nie chciałam mieszkać gdzie indziej. Dużo podróżowałam, jednak nie pomyślałam o tym, żeby gdzieś zostać na dłużej. Warszawa to moje miasto.



WCAŁE BYM SIĘ NIE ZDZIWIŁ, GDYBY BADANIA DNA WYKAZAŁY,  
ŻE WANDA CHOTOMSKA JEST CÓRKĄ BRZECHWY I TUIWIMA.

**MICHAŁ RUSINEK**

PANI WANDA – NIE TYLKO UTALENTOWANA, ALE JESZCZE ZABAWNA I CIEPŁA. KOCHAJĄCA WARSZAWĘ  
I RYMOWANIE. ZBIERAJĄCA LAURKI, KWIATKI, STARE LISTY I ZDJĘCIA. PODRÓŻUJĄCA WZDŁUŻ I WSZERZ,  
ABY ZACHĘCIĆ DZIECI DO CZYTANIA. INSTYTUCJA CHOTOMSKA JAK NIC!

**SYLWIA CHUTNIK**

KRÓLOWA POLSKIEJ LITERATURY DLA NAJMŁODSZYCH JEST TYLKO JEDNA.  
OTO GAWĘDA O JEJ ŻYCIU.

**MICHAŁ NOGAŚ**, REDAKTOR Z BRODĄ (ORAZ Z PROGRAMU 3 POLSKIEGO RADIA)

Autorka ponad dwustu książek, tysięcy wierszy, setek piosenek, sztuk teatralnych, kabaretów i słuchowisk. Niepodważalny autorytet, niezwykły talent, mistrzyni rymowania, opowiadania, zabawiania i rapowania. Wanda Chotomska nie tylko udowadnia, że nie ma nic do ukrycia, ale też przypomina czytelnikom, z czym zmagali się literaci w ponurych stalinowskich czasach, jak radzili sobie z cenzurą, w jaki sposób humor i uśmiech pozwalał przetrwać przygnębiającą rzeczywistość.

Wanda Chotomska opowiada o wojennym dorastaniu, absurdach PRL-u, przyjaźni z Mironem Białoszewskim, życiu poetki-nomadki, małżeństwach i o swoich najważniejszych bohaterach literackich, a wszystko z precyzyjną dokładnością, dowcipem i szacunkiem dla czytelników.

**BARBARA GAWRYŁUK** (1957), dziennikarka, tłumaczka, autorka książek dla dzieci. Od 1991 roku związana z Radiem Kraków, w którym prowadzi audycje literackie. Jest autorką ponad 20 książek dla dzieci i kilkudziesięciu przekładów szwedzkiej literatury dziecięcej i młodzieżowej. Laureatka nagrody IBBY za upowszechnianie czytelnictwa.



[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



9 788365 586339

cena 49,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



lubimyczytać.pl

